



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Krystyna Paszkiewicz

Celem było przeżycie

Dzień, w którym dowiedziałam się, że wybuchła wojna, pozostał na stałe w mej pamięci. Miałam wtedy jedenaście lat i przed sobą perspektywę nauki w piątej klasie szkoły powszechnej przy ul. Henryka Sienkiewicza w Toruniu. Nowego roku szkolnego oczekiwałam z radością. A tu nagle dowiaduję się, że wojna, że Ojciec (zawodowy wojskowy) pójdzie na front, a my – reszta rodziny – będziemy ewakuowani. Radio zaczęło podawać jakieś dziwne, niezrozumiałe komunikaty. Rodzice gdzieś szybko wyszli, dom opustoszał, wystygł, stał się niemiły. Niby te same obrazy i dywany, te same sprzęty, ale wszystko jakieś przeraźliwie smutne i groźne.

Dwa dni przeżyłam wraz z rodzeństwem po drugiej stronie Wisły, z dala od lotniska, w bunkrze zbudowanym w ogrodzie u znajomych Ojca. Słyszeć było odgłosy strzelaniny. Zaczęło się na dobre, a raczej na złe. To rzeczywiście była wojna. Jeszcze przymierzaliśmy maski gazowe, zbyt duże i niewygodne, ale do zaakceptowania. Jeszcze tornistry szkolne zamienialiśmy na apteczki z podstawowymi lekami. Jeszcze jakaś ciepła odzież, bo choć dni upalne, jednak noce były zimne. I już, już pospieszne pożegnania z Ojcem i odjazd na dworzec kolejowy, a potem dalej – Ciechocinek, nocleg w domku przy sanatorium, odgłosy strzałów, bombardowanie, łuny na niebie. Zaczęła się golgota wojennej wędrówki. Jechaliśmy pociągiem, który zatrzymywał się w różnych miejscach o różnych porach, zupełnie nie podporządkowany jakimkolwiek rozkładowi jazdy. Często stawał i wszyscy uciekali gdziekolwiek, ponieważ naloty niemieckich samolotów były coraz częstsze. Niektóre postoje były wręcz dramatyczne. Widziałam na przykład młodego oficera z roztrzaskaną nogą, który popełnił samobójstwo, strzelając do siebie na oczach wszystkich otaczających go ludzi. A moja mała siostrzyczka dostała rozstroju żołądka – może ze strachu, a może z niedobrej żywności. Mama miała z tym wiele kłopotu.

We Włocławku postój trwał dwa dni. Zakwaterowano nas w szkole. Nie było przyjemnie, bo naloty zmuszały do zbiegania na dół i krycia się. Rozeszła się plotka, że w sąsiednim budynku niemiecki szpieg lusterkiem daje znaki samolotom. Ktoś dementował, że ten człowiek po prostu goli się przy oknie. Jak było naprawdę – trudno powiedzieć, ale moja Matka postanowiła opuścić szkołę i na te dwa dni postój znalazła nocleg na przedmieściu.

Potem dalej gehenna podróży pociągiem, bomby, strzały z lasu. Tak dojechaliśmy pod Kutno, gdzie trzeba było wysiąść z pociągu i iść piechotą do miasta. W gronie osób, z którymi „podróżowałam”, było sporo małych dzieci. Postanowiono, że trzeba je przewieźć furmanką bocznymi drogami na drugą stronę miasta. Domyślałam się teraz, że Kutno było pod ostrzałem. Zorganizowano wojskową furmankę, dość długą i do niej upchnięto około 15 dzieci. Woźnicą był żołnierz, od którego zalatywało alkoholem.

On miał nas zawieźć do celu. Wtedy moja matka, 35-letnia kobieta, uparła się, że pojedzie z tym niezbyt odpowiedzialnym – jej zdaniem – żołnierzem, aby pilotować furmankę. Były sprzeciwy, że ciasno, że wystarczy woźnica, ale matka nie ustąpiła. Bogu dzięki, że tak się stało. Gdyby nie ona, prawdopodobnie nigdy nie dotarlibyśmy do celu, a raczej podzielilibyśmy los wielu dzieci zaginionych w czasie wojny. Kiedy wspominam ten fragment podróży, łzy stają mi w oczach. Żołnierz furman, rudy chłop, pijany i senny, tkwił w korku uciekinierów i taborów wojskowych. Matka odebrała mu lejce, zjechała wozem do rowu, przez ugór przebrnęła do jakiejś polnej drogi i klucząc, po ciemku, parła dalej i dalej z niesłyszczaną determinacją. Na szczęście koni nie bała się, bo jako żona wojskowego próbowała kiedyś jeździć konno.

Jak długo trwał ten dramatyczny epizod naszej tułaczki – nie wiem, bo usnęłam, ufna, że Matka jest z nami. A Ona dowiozła nas szczęśliwie do miejsca spotkania z rodzinami. Za Kutnem znowu wsiedliśmy do jakiegoś pociągu, tym razem towarowego i pod ostrzałem i bombami jechaliśmy w kierunku Warszawy. W miejscowości Błonie pociąg stanął, bo ostrzeliwali nas niemieccy dywersanci. Trzeba było uciekać w kierunku stawu zarośniętego pałąką wodną. Był biały dzień, więc najbezpieczniej było pozostać w tych szuwarach do zmroku. Ktoś powiedział, żeby przygotować się na spotkanie z wrogiem – pościagać z siebie kosztowności, bo kołczyki będą wyrwać z uszu, a pierścionki można stracić z palcami. Matka miała dwie obrączki metalowe z napisem FON. Zakopała je w ziemi pod Warszawą. Kiedy przyszła noc wyszliśmy z ukrycia i powędrowaliśmy wraz z taborami wojskowymi w kierunku stolicy. Cały czas strzelano do nas, błyskały ognie kul, a świetliste race rozjaśniały teren. Chowaliśmy się za wozami, na których wieziono – o ironio – skrzynie z amunicją. Ginęły konie i ludzie. Wędrowka do Warszawy była istną drogą krzyżową. Padałam ze zmęczenia i strachu. Trzymałam za rękę brata, a on trzymał się Mamy. Wiem co to znaczy spać idąc i ślaniając się. Kiedy wreszcie dotarliśmy do przedmieścia, usnęliśmy na jakimś progu kamienicy, w zagłębieniu przy bramie.

Przez pierwsze dni w Warszawie mieszkaliśmy w Hotelu Angielskim, ale było tam drogo, a Matka miała złe przeczucia, że budynek ten może być zbombardowany. Wobec tego zakotwiczyliśmy przy ul. Pierackiego 18, w biurach na i piętrze. Za moją Matką ciągnęły wszystkie kobiety z toruńskiej Rodziny Wojskowej w przekonaniu, że tylko Ona może coś zdziałać. Spaliśmy pokotem na podłodze, w ubraniach, gotowi wybiec w każdej chwili, gdy usłyszymy alarm. A bombardowanie Warszawy nasilało się. Najczęściej szukaliśmy schronienia po drugiej stronie ulicy w Cafe Bodo, w suterenach.

Byliśmy głodni. Sklepy pozamykane, a miejscowi ludzie nie byli skłonni dzielić się z przybyszami. Warszawa była już oblężona, więc trudności aprowizacyjne dawały się we znaki wszystkim. Kiedy strzelanina była któregoś dnia mniejsza, poszliśmy do Łazienek, bo tam stacjonowało wojsko. Mama wyprosiła kilka bochenków czarnego chleba. Nieśliśmy ten skarb w worku. Wreszcie coś zjemy! Podzieliliśmy się z naszymi współtowarzyszami. I to był błąd. Ukradziono nam resztę chleba, gdy w czasie nalotu byliśmy w schronie. Byliśmy znowu głodni. Trafiło się jednak, że przy rogu ul. Chmielnej otworzono sklep i przez kraty w drzwiach wejściowych sprzedawano czekoladę i rodzyнки. Mama pozwoliła mi pójść do kolejki. Była to bardzo długa kolejka i chyba bez szans. Kiedy jednak rąbnął jakiś szrapnel i ludzie rozproszyli się, dopadłam do drzwi sklepu nie zważając na krew i dostałam upragnioną żywność. To był bardzo szczęśliwy dzień. Ale potem były już te trzy ostatnie dni oblężonej Warszawy. W centrum miasta przeżywaliśmy piekło. Trzeba było wciąż uciekać, bo płonęły budynki, woda z popękanych rur spływała ulicami, fekalia też.

Bezdomni i głodni w jakiejś zrujnowanej ambasadzie przy Alejach Ujazdowskich doczekaliśmy kapitulacji. I wtedy zaczął się nowy rozdział mojego życia: okupacyjny, smutny, odbierający młodość.